



Laureat
NAGRODY
NOBLA
2017

Kiedy
byliśmy

KAZUO ISHIGURO

sierotami



Rozdział 1

Lattem 1923 roku, ukończywszy studia w Cambridge, postanowiłem – wbrew życzeniu ciotki, bym wrócił do Shropshire – związać swoją przyszłość ze stolicą i wprowadziłem się do małego mieszkanca przy Bedford Gardens 14b w Kensington. Wspominam tamto lato jako jedno z najwspanialszych w moim życiu. Po tak długim okresie spędzonym w gronie kolegów, najpierw szkolnych, potem uniwersyteckich, wielką przyjemność sprawiało mi, że mogę wreszcie побыć sam. Podobały mi się londyńskie parki i cisza panująca w czytelni Muzeum Brytyjskiego; całymi popołudniami spacerowałem po ulicach Kensington, snując plany na przyszłość, przystając niekiedy, by nacieszyć się faktem, że w Anglii, nawet w tak ogromnym mieście, można znaleźć piękne domy o fasadach porośniętych bluszczem i innymi pnączami.

To właśnie podczas jednego z takich spacerów spotkałem przypadkowo kolegę szkolnego, Jamesa Osbourne’a, i dowiedziawszy się, że mieszka w pobliżu, zaproponowałem, by mnie odwiedził, gdy następnym razem będzie przechodził koło mojego domu. Chociaż nikogo tam jeszcze nie gościłem, zaprosiłem go bez obawy, gdyż wybrałem to miejsce bardzo starannie. Czynsz nie był wysoki, a właścicielka urządziła mieszkanie gustownie; przywodziło ono na myśl nieśpieszną wiktoriańską przeszłość. Salon, dobrze nasło-

neczniiony przez pierwszą połowę dnia, wyposażono w starą sofę i dwa wygodne fotele, wiekowy kredens i dębowy regał na książki, wypełniony po brzegi rozlatującymi się encyklopediami. Wiedziałem, że wszystko to znajdzie uznanie w oczach każdego gościa. Poza tym zaraz po przeprowadzce udałem się do Knightsbridge i nabyłem serwis w stylu królowej Anny, kilka paczek dobrej herbaty i olbrzymie blaszane pudełko ciasteczek. Więc gdy pewnego ranka, kilka dni później, Osbourne złożył mi wizytę, podałem mu poczęstunek z taką pewnością siebie, że nawet nie przyszło mu do głowy, iż może być moim pierwszym gościem.

Najpierw, przez jakieś piętnaście minut, Osbourne przechadzał się niespokojnie po moim salonie, zachwalając mieszkanie, przypatrując się temu i owemu oraz regularnie wyglądając przez okno, by za każdym razem wykrzyknąć na widok tego, co dzieje się w dole. W końcu klapnął na sofę i mogliśmy się wreszcie podzielić nowinami dotyczącymi nas samych, a także naszych dawnych szkolnych przyjaciół. Pamiętam, że rozmawialiśmy potem przez jakiś czas o działalności związków zawodowych, a następnie podjęliśmy długą i przyjemną dyskusję na temat niemieckiej filozofii, co dało nam okazję do popisania się przed sobą erudycją, jaką każdy z nas zdobył na swojej uczelni. Później Osbourne wstał i znowu zaczął krążyć po pokoju. Czyniąc to, przedstawiał mi swoje rozmaite plany na przyszłość.

– Wiesz, myślę o branży wydawniczej. Gazety, czasopiśma, takie rzeczy. A właściwie to sam chciałbym pisać artykuły. O polityce, zagadnieniach społecznych. Ale może, jak mówię, sam zostanę politykiem. Słuchaj, Banks, czy ty naprawdę nie wiesz, co chcesz w życiu robić? Tylko spójrz, świat stoi przed nami otworem. – Wskazał na okno. – Na pewno masz jakieś plany.

– Chyba tak – odparłem z uśmiechem. – To i owo chodzi mi po głowie. Dam ci znać we właściwym czasie.

– Co zamierzasz? No już, wyrzuć to z siebie! I tak to z ciebie wyciągnę!

Niczego mu jednak nie zdradziłem i już wkrótce znów spieraliśmy się na temat filozofii, poezji czy czegoś w tym rodzaju. Potem, około południa, Osbourne przypomniał sobie nagle, że jest z kimś umówiony na lunch przy Piccadilly, i zaczął zbierać swoje rzeczy. Wychodząc, odwrócił się w drzwiach i powiedział:

– Słuchaj, stary, byłbym zapomniiał. Wybieram się wieczorem na przyjęcie na cześć Leonarda Evershotta. Tego magnata finansowego, wiesz. Wydaje je mój wuj. Dowiadujesz się o wszystkim w ostatniej chwili, ale pomyślałem, że może chciałbyś pójść. Mówię poważnie. Już dawno miałem do ciebie wpaść, tylko jakoś nigdy się nie składało. Przyjęcie odbędzie się w Charingworth.

Nie odpowiedziałem od razu, więc zrobił krok w moim kierunku i oświadczył:

– Pomyślałem o tobie, bo pamiętam... Pamiętam, jak bardzo interesowała cię zawsze kwestia mojego „ustosunkowania”. Dobra, dobra! Nie udawaj, że zapomniiałeś! Wypytywałeś mnie o to do znudzenia. „Ustosunkowany? Co to właściwie znaczy być ustosunkowanym?”. No cóż, pomyślałem, wreszcie jest okazja, by Banks sam się przekonał. – Potem Osbourne pokręcił głową, jakby coś sobie przypomniał, i dodał: – Mój Boże, byłeś w szkole takim dziwakiem.

Sądzę, że to właśnie w tym momencie ostatecznie zgodziłem się na propozycję mojego gościa co do wieczoru, wieczoru, który miał się dla mnie okazać – zaraz wyjaśnię dlaczego – o wiele bardziej istotny, niż mogłem wówczas przypuszczać. Następnie pożegnałem się z Osbourne’em, nie zdradzając w najmniejszym stopniu złości, jaką wzbudziły we mnie jego ostatnie słowa.

Gdy potem usiadłem, moja irytacja przybrała jeszcze na sile. Wtedy bowiem natychmiast odgadłem, do czego nawiązywał Osbourne. To prawda, że przez cały okres pobytu w szkole słyszałem, jak mówiono o nim, iż jest ustosunkowany. Określenie to bezwzględnie musiało się pojawić, ilekroć rozmawiano o Osbournie, a i ja sam, jak sądzę, używa-

łem go, kiedy zachodziła taka potrzeba. Faktem jest również, że ta sprawa mnie fascynowała – to, że jakimś tajemniczym sposobem mój szkolny kolega utrzymuje bliskie stosunki z wyższymi sferami, choć ani wyglądem, ani zachowaniem nie różni się od reszty nas wszystkich. Nie wyobrażam sobie jednak, bym mógł go – jak twierdził – wypytywać do znudzenia. Owszem, sporo o tym myślałem, mając czternaście czy piętnaście lat, ale Osbourne i ja nigdy się specjalnie w szkole nie przyjaźniliśmy i, o ile mnie pamięć nie myli, w rozmowie z nim poruszyłem tę kwestię tylko raz.

Zdarzyło się to pewnego jesiennego, mglistego poranka, gdy siedzieliśmy razem na niskim murku przed wiejskim zajazdem. Byliśmy wtedy chyba w piątej klasie. Wyznaczono nas do obsługi biegu przełajowego i teraz czekaliśmy, aż zawodnicy wyłonią się z mgły na pobliskim polu, by ich skierować na błotnistą ścieżkę, którą mieli potem biec. Wiedzieliśmy, że minie jeszcze trochę czasu, nim zjawią się zawodnicy, więc ucieliśmy sobie pogawędkę. To właśnie przy tej okazji – jestem tego pewien – spytałem Osbourne’a o jego „ustosunkowanie”. Osbourne, który mimo całej swej wylewności miał skromną naturę, próbował zmienić temat. Tak długo jednak nalegałem, aż w końcu rzekł:

– Och, daj spokój, Banks. To bez sensu, co tu roztrząsać? Po prostu zna się ludzi. Ma się rodziców, wujów, przyjaciół rodziny. Nie wiem, co w tym niezwykłego. – Zaraz potem, zdawszy sobie sprawę z tego, co powiedział, odwrócił się i dotknął mojej ręki. – Przepraszam, stary. To był wielki nie-takt.

Owo *faux pas* najwyraźniej sprawiło znacznie większą przykrość Osbourne’owi niż mnie. Mało tego, jest całkiem możliwe, iż ciążyło mu na sumieniu przez wszystkie te lata, tak że zapraszając mnie, bym wybrał się z nim do klubu Charingworth, próbował mi jakoś zadośćuczynić. W każdym razie, jak powiedziałem, wcale nie poczułem się urażony tą jego – bez wątpienia nieopatrzna – uwagą. Prawdę mówiąc, zaczęło mnie nawet z czasem nieco irytować, że

szkolni koledzy, zawsze gotowi stroić sobie żarty z praktycznie każdego innego nieszczęścia, jakie przydarzało się komukolwiek, przybierali wyraz ogromnej powagi na najmniejszą wzmiankę o moim sieroctwie. Tak naprawdę, choć może to wydać się dziwne, brak rodziców – więcej, jakichkolwiek bliskich krewnych w Anglii poza ciotką w Shropshire – już znacznie wcześniej przestał stanowić dla mnie specjalny dyskomfort. Pobierając nauki w szkole z internatem, wszyscy musieliśmy – na co często zwracałem uwagę moim kolegom – nauczyć się radzić sobie bez rodziców, więc w gruncie rzeczy moja sytuacja nie była wcale wyjątkowa. Niemniej jednak, gdy teraz o tym myślę, wydaje mi się wysoce prawdopodobne, że przynajmniej do pewnego stopnia fascynacja „ustosunkowaniem” Osbourne’a miała związek z tym, co wówczas uważałem za swój całkowity brak łączności ze światem poza murami szkoły St Dunstan. I chociaż byłem pewien, że w stosownym czasie wyrobię sobie odpowiednie kontakty i zaistnieję w świecie, niewykluczone, że liczyłem, iż dowiem się od Osbourne’a czegoś istotnego na temat tego, jak to wszystko funkcjonuje.

Kiedy jednak wspominałem wcześniej, że słowa Osbourne’a nieco mnie uraziły, nie chodziło mi bynajmniej o to, iż poruszył sprawę mojego „wypytywania go”. Rozdrażniła mnie raczej jego beztrąsko wyrażona opinia, że byłem w szkole „takim dziwakiem”.

Prawdę mówiąc, zawsze zastanawiało mnie, czemu tamtego ranka Osbourne powiedział o mnie coś takiego, bo pamiętam, że bez trudu odnalazłem się w nowym środowisku. Nie sądzę, bym nawet na samym początku pobytu w St Dunstan zrobił coś, czego musiałbym się wstydzić. Przypominam sobie, na przykład, że pierwszego dnia w szkole zauważyłem u wielu chłopców pewną manierę, która ujawniała się, gdy stali i rozmawiali. Wyglądało to tak, że trzymając prawą dłoń w kieszeni kamizelki, unosili i opuszczali lewe ramię, jakby nim wzruszając w celu podkreślenia jakiejś uwagi. Wyraźnie pamiętam, że już tego pierwszego dnia na-

śladowałem ową manierę z taką wprawą, że żaden z kolegów nie spostrzegł w moim zachowaniu niczego dziwnego i nikomu nie przyszło do głowy, by ze mnie żartować.

Równie śmiało i sprawnie przyswoiłem sobie inne gesty, zwroty i okrzyki, ciesząc się popularnością wśród moich rówieśników, a także panujące w środowisku zwyczaje i etykietę. Z pewnością szybko też zorientowałem się, że nie wyjdzie mi na zdrowie, jeśli będę mówił otwarcie – a tak właśnie często robiłem w Szanghaju – co myślę na temat zbrodni i wykrywania jej sprawców. I nawet kiedy w trzecim roku mojego pobytu w St Dunstan doszło do serii kradzieży i cała szkoła bawiła się w detektywów, powstrzymałem się od wzięcia udziału w śledztwie, zachowując jedynie niezbędne pozory. Bez wątplenia jakaś resztką tej samej strategii sprawiła, że tak niewiele powiedziałem Osbourne'owi o moich planach, gdy mnie odwiedził tamtego przedpołudnia.

Jednak mimo że zachowywałem wówczas dalece idącą ostrożność, mogę przywołać na pamięć co najmniej dwa przypadki z okresu szkolnego, świadczące o tym, że musiałem, choćby od czasu do czasu, tracić czujność na tyle, by dać innym pewne pojęcie o moich ambicjach. Nawet wtedy, gdy zdarzenia te miały miejsce, nie potrafiłem odgadnąć ich bezpośredniej przyczyny, a i dziś nie jestem tego bliższy.

Do pierwszego z nich doszło w moje czternaste urodziny. Dwóch moich dobrych kolegów z tego okresu, Robert Thornton-Browne i Russell Stanton, zabrało mnie do cukierni w miasteczku, gdzie miło spędzaliśmy czas, zajadając babeczki i kremówki. Było deszczowe sobotnie popołudnie i wszystkie stoliki były zajęte. W związku z tym co kilka minut wchodzili kolejni przemoczeni goście, rozglądali się po sali i rzucali w naszą stronę niechętnie spojrzenia, jakby dając nam do zrozumienia, iż powinniśmy natychmiast zwolnić stolik. Ale właścicielka cukierni, pani Jordan, zawsze chętnie nas u siebie widziała, więc tego urodzinowego popołudnia czuliśmy, że mamy wszelkie prawo, by zajmować wy-

brany stół przy wykuszowym oknie, z widokiem na rynek. Nie bardzo pamiętam, o czym wtedy rozmawialiśmy, lecz gdy już zjedliśmy to, co mieliśmy do zjedzenia, moi koledzy wymienili spojrzenia, po czym Thornton-Browne sięgnął do tornistra i wręczył mi paczkę w ozdobnym papierze.

Kiedy zacząłem rozpakowywać prezent, zauważyłem, że paczka jest zawinięta w liczne arkusze papieru. Moi przyjaciele wybuchali głośnym śmiechem, ilekroć usunąwszy jedną warstwę, natrafiałem na kolejną. Wszystko więc wskazywało na to, że gdy w końcu uporam się z pakunkiem, znajdę jakiś żartobliwy drobiazg. Tymczasem moim oczom ukazało się podniszczone skórzane pudełko, a w nim – kiedy odpiąłem zatrzask i uniosłem wieczko – lupa.

Mam ją teraz przed sobą. Jej wygląd niewiele się zmienił w ciągu lat; już wtedy była wysłużona. Pamiętam, że zwróciłem na to uwagę, podobnie jak na fakt, że jest bardzo mocna, zaskakująco ciężka i że brakuje jej kawałka rączki z kości słoniowej, odłamanego z jednej strony na całej długości. Dopiero później zauważyłem – do odczytania grawerunku potrzeba drugiej lupy – że została wykonana w Zurychu w 1887 roku.

Moja pierwsza reakcja na prezent była niezwykle entuzjastyczna. Chwyliłem lupę, odgarniając na bok stertę papieru pokrywającą blat stołu – podejrzewam, że wskutek podniesienia strąciłem kilka arkuszy na podłogę – i natychmiast zacząłem ją wypróbować na jakichś drobinkach masła rozsmarowanych na obrusie. Do tego stopnia się w tym zapamiętałem, że ledwie do mnie docierał przesadny śmiech moich kolegów, taki, co to świadczy, iż ktoś się bawi czyimś kosztem. Kiedy podniosłem oczy, wreszcie oprzytomniawszy, zapanowało nagle kłopotliwe milczenie. I właśnie wtedy Thornton-Browne nerwowo zachichotał i rzekł:

– Pomyśleliśmy, że ci się to przyda, skoro zamierzasz zostać detektywem.

Po tych słowach szybko się pozbierałem i starałem się obrócić całą sprawę w żart. Przypuszczam jednak, że wtedy

z kolei moi koledzy nieco się pogubili, niepewni już swoich intencji, więc przez resztę czasu spędzonego w cukierni żaden z nas nie zdołał tak naprawdę odzyskać wcześniejszego pogodnego nastroju.

Jak wspomniałem, mam tę lupę teraz przed sobą. Używałem jej, prowadząc dochodzenie w sprawie Manneringa, a także całkiem niedawno – podczas śledztwa dotyczącego Trevora Richardsona. Cóż, lupa, mimo swojego legendarnego statusu, nie stanowi już podstawowego narzędzia detektywa, ale nadal jest przydatna, gdy zbiera się pewne rodzaje materiałów dowodowych, toteż sądzę, że jeszcze przez jakiś czas będę nosił przy sobie prezent urodzinowy, który otrzymałem od Roberta Thorntona-Browne’a i Russella Stantonna. Kiedy nań teraz patrzę, przychodzi mi do głowy taka myśl: jeśli istotnie intencją moich kolegów było splekanie mi figła, to cóż – żart obrócił się przeciwko nim. Niestety, nie zdołałam już nigdy ustalić, o co im chodziło, ani jak, mimo przedsięwziętych przeze mnie środków ostrożności, odkryli moje skrywane aspiracje. Stanton, który skłamał na temat swojego wieku, by zaciągnąć się do wojska, zginął w trzeciej bitwie pod Ypres. Thornton-Browne, jak słyszałem, zmarł na gruźlicę dwa lata temu. W każdym razie obaj opuścili szkołę w piątej klasie i straciłem z nimi kontakt, na długo zanim dowiedziałem się o ich śmierci. Ale wciąż pamiętam, jak bardzo byłem niepocieszony, gdy Thornton-Browne opuścił szkołę; był jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego miałem od przyjazdu do Anglii, i bardzo mi go brakowało przez pozostałe lata spędzone w St Dunstan.

Następne z dwóch wydarzeń, które przychodzą mi do głowy, miało miejsce jakiś czas później, w szóstej klasie, lecz jego szczegóły już się zatarły w mojej pamięci. Właściwie to w ogóle nie pamiętam, co nastąpiło przed i po tej szczególnej chwili. Przypominam sobie natomiast, że wszedłem do sali numer 15 w staroklasztornym budynku, do której przez wąskie krużgankowe okna wpadały smugi słonecznego blasku, ukazując wirujący w powietrzu kurz. Nauczyciela

jeszcze nie było, ale musiałem się spóźnić, bo pamiętam, że moi koledzy siedzieli już grupkami na pulpitach, ławkach i parapetach. Miałem właśnie dołączyć do jednej z takich pięcio-, sześćoosobowych grupek, gdy twarze wszystkich obecnych zwróciły się w moją stronę i natychmiast odgadłem, że o mnie rozmawiano. Potem, nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, jeden z kolegów, Roger Brenthurst, wskazał na mnie i zauważył:

– Ależ on z pewnością jest za niski na Sherlocka.

Kilku chłopaków ryknęło śmiechem, ale nie jakimś szczególnie przykrym, i to – jeśli dobrze pamiętam – było wszystko. Później nigdy już nie słyszałem, by mówiono o moich aspiracjach do zostania „Sherlockiem”, lecz przez pewien czas po tym wydarzeniu dręczył mnie lekki niepokój z powodu tego, że tajemnica się wydała, stając się tematem rozmów toczonych za moimi plecami.

Nawiasem mówiąc, potrzeba zachowania ostrożności, jeśli chodzi o kwestię moich ambicji, zrodziła się, zanim jeszcze zamieszkałem w szkolnym internacie. Większość czasu w pierwszych tygodniach pobytu w Anglii spędzałem bowiem na wędrówkach po błoniach za domem mojej ciotki w Shropshire, odgrywając pośród wilgotnych paproci rozmaite detektywistyczne scenariusze, które Akira i ja układaliśmy razem w Szanghaju. Teraz, rzecz jasna, będąc sam, musiałem też grać wszystkie jego role; co więcej, świadom tego, że można mnie zobaczyć z domu, starałem się wykonywać oszczędne ruchy i wygłaszać nasze kwestie półszepem, co stanowiło całkowite przeciwieństwo nieskrępowanego sposobu gry, do jakiego byłem przyzwyczajony.

Jednak te środki ostrożności okazały się niewystarczające. Pewnego ranka bowiem, kiedy byłem w małym pokoiku na poddaszu, który mi przydzielono, usłyszałem rozmowę ciotki z przyjaciółmi, odbywającą się w salonie na dole. Tym, co pierwsze wzbudziło moją ciekawość, było nagłe ściszenie głosów; po chwili wykradłem się z pokoju na galerijkę i przechyliłem przez poręcz.

– Nie ma go całymi godzinami – mówiła ciotka. – To nie jest zdrowe, chłopiec w jego wieku zamknięty we własnym świecie. Musi zacząć patrzeć w przyszłość.

– Należało się tego spodziewać – zauważył ktoś. – Po tym wszystkim, co przeszedł.

– Nic nie zyska na tych rozmyślaniach – odparła ciotka. – Został otoczony troskliwą opieką i w pewnym sensie miał szczęście. Czas, by pomyślał o przyszłości. Zamierzam położyć kres całej tej introspekcji.

Od tego dnia nie chodziłem już na błonia i pilnowałem się, by nikt nie ujrzał u mnie jakichkolwiek oznak „introspekcji”. Ale byłem jeszcze bardzo młody, więc w nocy, leżąc w swoim pokoju na poddaszu i wsłuchując się w skrzypienie desek – gdy ciotka krzątała się po domu, nakręcała zegary i doglądała kotów – znów odgrywałem, tyle że w wyobraźni, nasze stare detektywistyczne historie, zupełnie tak, jak kiedyś z Akirą.

Powróćmy jednak do owego letniego dnia, kiedy to Osborne odwiedził mnie w moim mieszkaniu w Kensington. Nie chciałem, aby powstało mylne wrażenie, że jego stwierdzenie, jakobym był „dziwakiem”, zaprzętało mój umysł dłużej niż przez kilka chwil. Wkrótce po wyjściu Osbourne’a ja także, i to w całkiem niezłym nastroju, wyszedłem z domu i już niebawem można mnie było zobaczyć przechadzającego się między kwietnymi rabatami w St James’s Park i coraz bardziej cieszącego się na nadchodzący wieczór.

Gdy teraz myślę o tamtym popołudniu, dochodzę do wniosku, że miałem wtedy wszelkie prawo odczuwać lekkie zdenerwowanie, a fakt, iż tak nie było, stanowił jedynie typowy przejaw mojej durnej arogancji, która pomogła mi przetrwać w tych pierwszych londyńskich latach. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że to przyjęcie będzie znacznie odbiegało swoją rangą od wszystkiego, z czym miałem do czynienia na uczelni; że mogę spotkać się z wymogami etykiety, które są mi całkowicie obce. Byłem jednak pewien, że dzięki swojej czujności podołam wszelkim tego typu trud-

nościom i, ogólnie rzecz biorąc, wypadnę dobrze. Gdy spacerowałem po parku, zupełnie co innego stanowiło przedmiot mojej troski. Zaraz po tym, jak Osbourne napomknął o „ustosunkowanych” gościach, uznałem, że znajdzie się wśród nich przynajmniej kilku czołowych detektywów. Sporo czasu więc, jak sądzę, poświęciłem owego popołudnia na zastanawianie się, co powiem, jeśli zostanę przedstawiony Matlockowi Stevensonowi albo może nawet profesorowi Charleville’owi. Ćwiczyłem w kółko sposób, w jaki – skromnie, ale jednak z pewną godnością – nakreślę im moje plany, i wyobrażałem sobie, jak któryś z nich postanawia roztoczyć nade mną ojcowską opiekę, służąc wszelką radą i nalegając, bym szukał u niego wsparcia w przyszłości.

W rzeczywistości, rzecz jasna, przyjęcie całkowicie mnie rozczarowało, mimo że – o czym się wkrótce przekonacie – miało się później okazać niezwykle istotne z zupełnie innych powodów. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że w tym kraju detektywi rzadko kiedy uczestniczą w imprezach towarzyskich. Nie wynika to z braku zaproszeń; moje własne niedawne doświadczenia dowodzą, że wpływowe kręgi zawsze próbują zwerbować najwybitniejszych detektywów swoich czasów. Tyle że ci detektywi są poważnymi, zazwyczaj strońniętymi od ludzi osobami, oddanymi bez reszty pracy, i nie bardzo mają ochotę obcować ze sobą nawzajem, nie mówiąc już o towarzystwie jako takim.

Ale jak powiadam, nie zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawy, gdy tamtego wieczoru przyszedłem do klubu Charingworth i wzorem Osbourne’a gorąco pozdrowiłem portiera we wspaniałej liberii. Tak czy inaczej już po kilku minutach od wejścia do zatłoczonej sali na pierwszym piętrze moje złudzenia przysły. Nie wiem dokładnie, jak do tego doszło – nie zdążyłem wtedy jeszcze nawet ustalić tożsamości kogokolwiek z obecnych – lecz doznałem czegoś w rodzaju olśnienia, które sprawiło, że poczułem wstyd z powodu mojego wcześniejszego entuzjazmu. Naraz wydało mi się niewyobrażalne, że spodziewałem się tam zastać Matlocka Steven-

sona czy profesora Charleville'a, bawiących w towarzystwie finansistów i ministrów, którzy mnie otaczali. Byłem do tego stopnia przygnębiony przepaścią, jaka ziała między wydarzeniem, w którym uczestniczyłem, a tym, o jakim przez całe popołudnie rozmyślałem, że – przynajmniej na pewien czas – straciłem wszelki rezon i ku swojej złości przez pół godziny albo i dłużej nie odstępowałem Osbourne'a na krok.

Jestem przekonany, że właśnie na skutek tego wzburzenia tak wiele rzeczy wydaje mi się przerysowanych i nienaturalnych, gdy sięgam teraz pamięcią do owego wieczoru. Na przykład, gdy próbuję odtworzyć w myślach salę, jawi mi się ona jako nadzwyczaj ciemna, i to mimo kinkietów, świec na stołach i żyrandoli, które pozostają bezradne wobec panującej dokoła ciemności. Dywan jest bardzo gruby, tak gruby, że aby móc przemieszczać się po sali, trzeba powłóczyć nogami, i licznie tam reprezentowani siwiejący panowie w czarnych marynarkach tak właśnie czynią, a niektórzy nawet pochylają ramiona do przodu, jakby przedzierali się przez zawieję. Również kelnerzy, ze swoimi srebrnymi tacami, wyginają się w czasie rozmów pod dziwnymi kątami. Prawie w ogóle nie ma kobiet, a te, które są, wydają się dziwnie przygaszone i niemal natychmiast giną z oczu za lasem czarnych wizytowych garniturów.

Jak powiedziałem, jestem pewien, że te wrażenia nie do końca odpowiadają rzeczywistości, lecz tak właśnie ów wieczór pamiętam. Stałem odrętwiwały i nieporadny, co chwila pociągając z kieliszka, podczas gdy Osbourne gawędził przyjaźnie z jednym gościem za drugim, z których większość była od nas starsza o dobre trzydzieści lat. Raz czy dwa próbowałem się włączyć do dyskusji, lecz mój głos brzmiał nad wyraz dziecinnie, a poza tym prawie każda rozmowa dotyczyła ludzi i spraw, o których nie miałem zielonego pojęcia.

Po pewnym czasie rozgniewałem się – na siebie, Osbourne'a i wszystko, co działo się wokół. Czułem, że mam święte prawo gardzić otaczającymi mnie ludźmi, gdyż w przeważającej większości są oni chciwi i egoistyczni, pozbawieni

jakiegokolwiek idealizmu czy poczucia społecznej odpowiedzialności. Ta złość dodała mi sił, więc udało mi się wreszcie oderwać od Osbourne'a i ruszyć poprzez mrok ku innej części sali.

Dotarłem do obszaru rozjaśnionego plamą nikłego światła, sączącego się z małej ściennej latarenki. Było tu luźniej i dostrzegłem szpakowatego mężczyznę około siedemdziesiątki, który palił, stojąc plecami do sali. Minęła chwila, nim zorientowałem się, że patrzy w lustro, zdążył więc zauważyć, iż mu się przyglądam. Miałem już odejść, gdy nie odwracając się, zapytał:

– Dobrze się bawisz?

– O tak – odparłem i zachichotałem. – Dziękuję. Wspomniała okazja.

– Ale trochę jesteś zagubiony, co?

Zawahałem się, po czym ponownie się zaśmiałem.

– Może trochę. Tak, proszę pana.

Szpakowaty mężczyzna odwrócił się i przyjrzał mi się uważnie. Potem rzekł:

– Jeśli chcesz, powiem ci, kim są niektórzy z tych ludzi. A jeśli uznasz, że chciałbyś z którymś z nich porozmawiać, zaprowadzę cię do niego i przedstawię. Co ty na to?

– To bardzo uprzejmie z pana strony. Doprawdy, bardzo uprzejmie.

– No dobrze.

Zbliżył się o krok i rozejrzał po sali. Potem, nachyliwszy się ku mnie, zaczął mi pokazywać różne osobistości. Nawet gdy nazwisko było powszechnie znane, dodawał dla ułatwienia: „finansista”, „kompozytor” i tak dalej. Gdy zaś chodziło o kogoś mniej popularnego, podawał mi w skrócie historię kariery tej osoby i powód, dla którego cieszyła się ona poważaniem. Zdaje się, że opowiadając akurat o pewnym duchownym, stojącym niedaleko nas, przerwał nagle i rzekł:

– Oho. Widzę, że kawaler jest nieco rozkojarzony.

– Bardzo mi przykro...

– Nie szkodzi. To w końcu zupełnie naturalne. Zwłaszcza w twoim wieku.

– Ależ zapewniam pana, że...

– Przeprosiny są zbyt uczte. – Wybuchnął śmiechem i szturchnął mnie w ramię. – Ładna, co?

Nie bardzo wiedziałem, jak odpowiedzieć. Nie mogłem zaprzeczyć, że moją uwagę przykuła młoda kobieta, która stała kilka jardów od nas i rozmawiała właśnie z dwoma mężczyznami w średnim wieku. Ale tak się składa, że wówczas wcale nie wydała mi się ładna. Możliwe nawet, że w jakiś sposób – właśnie tam i wtedy, ujrawszy ją po raz pierwszy – wyczułem owe cechy, które – o czym się później przekonałem – są dla niej tak charakterystyczne. Młoda kobieta, którą zobaczyłem, miała drobną niczym elf sylwetkę i ciemne włosy, sięgające ramion. Mimo że starała się oczarować swoich rozmówców, dostrzegłem w jej uśmiechu coś, co w jednej chwili mogło mu nadać szyderczy wyraz. Lekko przykurczone ramiona, jak u drapieżnego ptaka, sprawiały, że jej postać tchnęła jakąś przebiegłością. Przede wszystkim jednak było coś szczególniego w oczach kobiety – surowego, bezwzględnie wymagającego – i właśnie to coś – jak widzę teraz, z perspektywy czasu – bardziej niż cokolwiek innego spowodowało, że nie mogłem wtedy oderwać od niej wzroku.

Potem, kiedy obaj się jeszcze w nią wpatrywaliśmy, spojrzała w naszym kierunku i rozpoznawszy mojego towarzysza, posłała mu przelotny, chłodny uśmiech. Szpakowaty mężczyzna uniósł rękę w geście pozdrowienia i z szacunkiem skłonił głowę.

– Czarująca młoda dama – mruknął, prowadząc mnie w inną część sali – ale nie ma sensu, by ktoś taki jak ty tracił czas, zabiegając o jej względy. Nie chcę cię obrazić, wyglądasz na całkiem porządnego. Ale widzisz, to jest panna Hemmings. Panna Sara Hemmings.

Nic mi to nazwisko nie mówiło. Ale choć wcześniej mój przewodnik tak skrupulatnie podawał wszelkie informacje na temat prezentowanych ludzi, tym razem najwyraźniej są-

dził, że wypowiedziane przezeń nazwisko jest mi doskonale znane. Wobec tego skinąłem głową i rzekłem:

– Ach tak. Więc to jest panna Hemmings.

Dżentelmen przystanął i zaczął wodzić spojrzeniem po sali z naszego nowego punktu obserwacyjnego.

– Niech popatrzę. Zakładałam, że szukasz kogoś, kto pomógłby ci się wybić. Mam rację? Nie martw się. Prowadziłem tę samą grę, gdy byłem młody. Niech popatrzę. Kogo my tu mamy? – Potem nagle odwrócił się do mnie i spytał: – Mówiłeś, że co chcesz w życiu robić?

Oczywiście do tego momentu nie powiedziałem mu nic na ten temat. Ale teraz, po chwili wahania, najzwyczajniej w świecie oznajmiłem:

– Chcę być detektywem, proszę pana.

– Detektywem? Hm... – Dalej rozglądał się po sali. – To znaczy... policjantem?

– Raczej kimś w rodzaju prywatnego doradcy.

Kiwnął głową.

– Naturalnie, naturalnie. – Zaciągnął się cygarem, głęboko pogrążony w myślach. – A nie interesują cię przypadkiem muzea? Tamten jegomość, znam go od lat... Muzea. Czaszki, relikty, takie rzeczy. Nie interesują? Tak myślałem. – Dalej rozglądał się po sali, niekiedy wyciągając szyję, by kogoś zobaczyć. – Oczywiście – powiedział w końcu – wielu młodzińców marzy o pracy detektywa. Zdaje się, że ja również kiedyś o tym marzyłem, w przyływach fantazji. Człowiek jest takim idealistą w twoim wieku. Pragnie zostać wielkim detektywem. Na własną rękę wykorzenić wszelkie zło. Godne uznania. Ale wierz mi, mój chłopcze, nie zaszkodzi mieć coś w zanadrzu. Ponieważ za rok lub dwa, nie chcę cię obrazić, w każdym razie dość prędko spojrzysz na świat innymi oczami. Interesują cię meble? Pytam, bo właśnie stoi tam nie kto inny, tylko sam Hamish Robertson.

– Z całym szacunkiem, proszę pana. Zamiar, z którego się panu zwierzyłem, nie jest przelotną zachcianką. To powołanie, które czułem przez całe życie.

– Całe życie? A ile ty masz lat? Dwadzieścia jeden? Dwadzieścia dwa? No cóż, przypuszczam, że nie powinienem cię zniechęcać. W końcu kto, jeśli nie młodzi ludzie, ma przejawiać takie idealistyczne skłonności? I pewnie uważasz też, mój chłopcze, że dzisiejszy świat jest znacznie gorszy od tego sprzed trzydziestu lat, zgadza się? Cywilizacja chyli się ku upadkowi i tak dalej?

– Prawdę mówiąc, proszę pana – odparłem krótko – tak właśnie uważam.

– Pamiętam czasy, gdy myślałem podobnie. – Nagle jego sarkazm ustąpił miejsca łagodniejszemu tonowi i wydawało mi się nawet, że łzy napłynęły mu do oczu. – Dlaczego według ciebie tak jest, mój chłopcze? Czy świat rzeczywiście staje się coraz gorszy? Czy *homo sapiens* ulega degeneracji jako gatunek?

– Tego nie wiem, proszę pana – odrzekłem, tym razem spokojniej. – Mogę powiedzieć tyle, że dla bezstronnego obserwatora to rzecz oczywista, iż współczesny przestępca staje się coraz bardziej przebiegły. Jest coraz ambitniejszy, śmielszy, a nauka dała mu do dyspozycji całą masę nowych skomplikowanych narzędzi.

– Rozumiem. I bez zdolnych facetów po naszej stronie takich jak ty przyszłość maluje się w ciemnych barwach. O to chodzi? – Smutno pokiwał głową. – Niewykluczone, że coś w tym jest. Zbyt łatwo szydzić takiemu staruszkowi jak ja. Być może masz rację, mój chłopcze. Być może za długo pozostawialiśmy sprawy własnemu biegowi. Ach!

Szpakowaty mężczyzna znowu skłonił głowę, bo właśnie mijają nas Sara Hemmings. Sunęła wśród tłumu z wyniosłym wdziękiem, spoglądając na lewo i prawo, jakby w poszukiwaniu – tak mi się zdawało – kogoś, kogo mogłaby uznać za godnego swojego towarzystwa. Spozrzegłszy mojego towarzysza, obdarzyła go, jak wcześniej, przelotnym uśmiechem, lecz nie zatrzymała się. Na ułamek sekundy jej spojrzenie spoczęło też na mnie, ale niemal natychmiast – zanim zdążyłem się choćby uśmiechnąć zapomniała o mnie

i kroczyła dalej w kierunku kogoś, kogo dojrzała po drugiej stronie sali.

Później, wracając z Osbourne'em taksówką do Kensington, próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej o Sarze Hemmings. Mój kolega, choć udawał, że przyjęcie potwornie go znudziło, był niezwykle z siebie zadowolony i palił się, by przytoczyć mi obszerne fragmenty rozmów, jakie odbył z wpływowymi ludźmi. Niełatwo więc było cokolwiek z niego wyciągnąć na temat panny Hemmings, nie okazując przy tym nadmiernej ciekawości. W końcu jednak udało mi się doprowadzić do tego, że powiedział:

– Panna Hemmings? A tak, ona. Kiedyś była zaręczona z Herriotem-Lewisem. Wiesz, tym dyrygentem. Potem, zeszłej jesieni, facet miał ten koncert muzyki Schuberta w Albert Hall. Pamiętasz tę katastrofę?

Gdy przyznałem się do swojej ignorancji, Osbourne mówił dalej:

– Wprawdzie nie rzucono krzesłami, ale tylko dlatego, jak sądzę, że były przytwierdzone do podłogi. Jakiś gość z „Timesa” uznał występ za „kompletną groteskę”. A może napisał „profanacja”? Mniejsza o to, w każdym razie nie był zachwycony.

– A panna Hemmings...

– Natychmiast zerwała z Herriotem-Lewisem. Ponoć ciśnęła w niego pierścieniem zaręczynowym. I od tej pory trzyma się od niego z daleka.

– Wszystko z powodu jednego koncertu?

– Cóż, to było dość przykre, tak mówią. Wywołało spore poruszenie. Mam na myśli zerwanie zaręczyn. A swoją drogą, ależ tam się dziś roilo od nudziarzy, Banks. Myślisz, że w ich wieku też będziemy tacy?

*

W ciągu pierwszego roku po ukończeniu Cambridge dość regularnie – głównie z powodu znajomości z Osbourne'em – uczestniczyłem w prestiżowych imprezach. Gdy

teraz wspominam tamten okres swojego życia, uderza mnie jego wyjątkowa beztroska. Były to kolacje, lunche i koktajle organizowane w domach w Bloomsbury i Holborn. Zależało mi na tym, żeby wyzbyć się nieporadności, jaką prezentowałem w Charingworth, i rzeczywiście z przyjęcia na przyjęcie czułem się pewniej. Można więc powiedzieć, że przez pewien czas należałem do jednej z londyńskich śmietanek towarzyskich.

Panna Hemmings obracała się w innym towarzystwie, ale zauważyłem, że ilekroć wspomniałem o niej moim przyjaciołom, wiedzieli, o kogo chodzi. Poza tym widywałem ją od czasu do czasu na dużych imprezach albo, dosyć często, w kawiarniach co elegantszych hoteli. W każdym razie, w ten czy inny sposób, zbierałem coraz więcej informacji dotyczących jej kariery w wyższych sferach Londynu.

Ależ to dziwne uczucie wracać myślą do czasów, kiedy cała moja wiedza na temat tej kobiety opierała się na niejasnych wrażeniach z drugiej ręki! Szybko się przekonałem, że nie brakuje osób, które odnoszą się do niej z niechęcią. Wydaje się, że jeszcze nim doszło do zerwania zaręczyn z Anthonym Herriotem-Lewisem, narobiła sobie wrogów z powodu tego, co wielu określało mianem jej „bezpośredniości”. Z kolei przyjaciele Herriota-Lewisa – na których obiektywizm, bądźmy sprawiedliwi, trudno liczyć – opowiadali, jak bezpardonowo uganiała się za dyrygentem. Inni oskarżali ją o manipulowanie znajomymi Herriota-Lewisa w celu zbliżenia się do niego. Jej późniejsze porzucenie dyrygenta, po tylu zabiegach o jego względy, niektórzy postrzegali jako coś zagadkowego, inni zaś jako ostateczne potwierdzenie jej cynicznych motywów. Z drugiej strony jednak zetknąłem się ze sporą grupą ludzi, którzy mówili o panie Hemmings raczej dobrze. Często określano ją jako „bystrą”, „fascynującą”, „skomplikowaną”. Szczególnie kobiety broniły jej prawa do zerwania zaręczyn, niezależnie od przyczyny. Ale nawet obrońcy panny

Hemmings zgadzali się z tym, że jest ona „okropną snobką nowego gatunku”, że gardzi każdym, kto nie ma znanego nazwiska. I muszę przyznać, że obserwując ją wtedy z daleka, nie znalazłem prawie nic, co pozwoliłoby mi na podważenie takich opinii. Czasem naprawdę odnosiłem wrażenie, że ta kobieta może oddychać tylko powietrzem, które otacza najszlachetniejszych ludzi. Przez jakiś czas spotykała się z adwokatem Henrym Quinnem, by natychmiast odsunąć się od niego, gdy przegrał sprawę Charlesa Browninga. Potem zaczęły krążyć pogłoski o jej rosnącej zażyłości z Jamesem Beaconem, który w owym czasie był młodym, dobrze zapowiadającym się ministrem. Tak czy inaczej stało się dla mnie całkowicie jasne, o co chodziło szpakowatemu mężczyźnie, gdy oświadczył, że nie ma sensu, by „ktoś taki, jak ja” zabiegał o względy panny Hemmings. Wtedy naturalnie nie zrozumiałem jego słów. Ale odkąd je zrozumiałem, śledziłem kroki panny Hemmings ze szczególnym zainteresowaniem. Mimo to dopiero pewnego popołudnia w dwa lata po pamiętnym przyjęciu w Charingworth udało mi się z nią porozmawiać po raz pierwszy.

*

Byłem ze znajomym na herbacie w hotelu Waldorf, gdy nagle wezwano go w jakiejś pilnej sprawie służbowej. Potem jednak, siedząc już samotnie na parterze kawiarni Palm Court i zajadając babeczki z dżemem, spostrzegłem pannę Hemmings, która siedziała, również sama, przy jednym ze stolików na balkonie. Jak wcześniej mówiłem, nieraz już widywałem ją w takich miejscach, ale tego popołudnia sytuacja była inna. Nie upłynął bowiem jeszcze miesiąc od zakończenia sprawy Manneringa i wciąż przeżywałem coś w rodzaju euforii. Z pewnością okres, który nastąpił po moim pierwszym publicznym triumfie, był ekscytujący: otworzyło się przede mną wiele różnych drzwi, napływały zaproszenia z zupełnie nowych miejsc, a ci, którzy jeszcze do niedawna okazywali mi co najwyżej sympatię, teraz wy-

krzykiwali z entuzjazmem, ledwie pojawiłem się na sali. Nic dziwnego, że byłem tym wszystkim nieco oszołomiony.

W każdym razie tamtego popołudnia wstałem od stołu i ruszyłem w stronę schodów wiodących na balkon. Nie jestem pewien, czego się spodziewałem. To, że nawet nie zastanawiałem się, czy panna Hemmings w ogóle będzie miała ochotę mnie poznać, stanowi dowód mojego typowego dla tego okresu zadowolenia z siebie. Może i jakaś drobna wątpliwość przemknęła mi przez głowę, gdy mijając pianistę i zbliżałem się do stolika, przy którym siedziała panna Hemmings, czytając książkę. Ale pamiętam, że byłem raczej usatysfakcjonowany tym, jakim tonem, dystyngowanym, zarazem żartobliwym, zabrzmiał mój głos, gdy powiedziałem:

– Przepraszam, lecz pomyślałem, że najwyższa pora, bym się pani przedstawił. Mamy tylu wspólnych przyjaciół. Nazywam się Christopher Banks.

Zdołałem jeszcze wymówić imię i nazwisko z emfazą, ale moja pewność siebie zaczęła już słabnąć. Panna Hemmings patrzyła bowiem na mnie chłodnym, pytającym wzrokiem, a kiedy zamilkłem, zerknęła nawet na książkę, jakby ta wydała pomruk niezadowolenia. W końcu odpowiedziała głosem zdradzającym niejakie zakłopotanie:

– Ach tak? Miło mi.

– Sprawa Manneringa – wygłupiłem się. – Może pani o niej czytała.

– Tak. Prowadził pan śledztwo.

Te słowa do reszty zbiły mnie z tropu. Powiedziała je bowiem całkowicie obojętnym tonem, stwierdzając po prostu beznamiętnie pewien mało istotny fakt i dając mi tym samym do zrozumienia, że od początku doskonale wiedziała, kim jestem, lecz nadal nie ma pojęcia, dlaczego stoję przy jej stoliku. Nagle poczułem, że przyprawiające o zawrót głowy uniesienie, które towarzyszyło mi w ostatnich tygodniach, ulatnia się. Parsknąłem nerwowym śmiechem i właśnie wtedy, zdaje się, dotarło do mnie wreszcie, że sprawa Manne-

ringa, mimo mojego wspaniałego śledztwa, mimo podziwu moich przyjaciół, nie odbiła się w świecie tak głośnym echem, jak przypuszczałem.

Niewykluczone, że zanim wróciłem do swego stolika, doszło jeszcze między nami do krótkiej wymiany uprzejmości, ale na tym się skończyło. Dziś wydaje mi się, iż panna Hemmings miała święte prawo zachować się w ten sposób – coś za niedorzeczność wyobrażać sobie, że coś takiego, jak sprawa Manneringa, może zrobić na tej kobiecie wrażenie! Pamiętam jednak, że kiedy na powrót usiadłem przy swoim stoliku, odczuwałem zarazem złość i przygnębienie. Przyszło mi bowiem na myśl, że może ośmieszyłem się nie tylko w oczach panny Hemmings, ale że robiłem z siebie bałwana po wielokroć przez cały poprzedni miesiąc, a moi przyjaciele, mimo tych wszystkich gratulacji, tak naprawdę pokpiwali sobie ze mnie.

Choć właściwie już następnego dnia uznałem, że w pełni zasłużyłem na tę nauczkę, zdarzenie w hotelu Waldorf wzbudziło we mnie niechęć do panny Hemmings, niechęć, od której nigdy nie udało mi się do końca uwolnić i która bez wątpienia zaważyła na niefortunnych wypadkach zeszłego wieczoru. Tak czy owak próbowałem traktować cały incydent jako zdarzenie opatrnościowe, gdyż uświadomił mi on, jak łatwo zbczyć z obranej drogi. Chciałem przecież walczyć ze złem, zwłaszcza tym ukrytym i podstępny, a to niewiele miało wspólnego ze zdobywaniem popularności wśród ludzi z wyższych sfer.

Od tej pory znacznie ograniczyłem swoje życie towarzyskie i skoncentrowałem się na pracy. Studiowałem godne uwagi sprawy z przeszłości i przyswajałem sobie wiedzę z rozmaitych dziedzin, których znajomość mogła się pewnego dnia okazać przydatna. Mniej więcej w tym samym okresie zacząłem też analizować kariery sławnych detektywów i odkryłem, że można rozróżnić dwie drogi dochodzenia przez nich do sławy; jedna ma związek z rzeczywistymi dokonaniem, druga – głównie z pozycją zajmowaną w ja-

kimś wpływowym towarzystwie; istnieje więc, zauważyłem, prawdziwy i fałszywy sposób na to, by detektyw zyskał uznanie. Krótko mówiąc, chociaż pochlebiały mi propozycje przyjaźni, które otrzymywałem po sukcesie w sprawie Manneringa, to dzięki incydentowi w hotelu Waldorf przypomniałem sobie o przykładzie danym przez rodziców i postanowiłem, że nie pozwolę już, by próżniaczy tryb życia przeszkadzał mi w dążeniu do celu.